

Janusz Ramotowski

część II z X

Sygnatura notacji: **N0174**

Data urodzenia: **28.07.1950 r.**

Data nagrania: **29.08.2022 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Otwock, Polska**

Prowadzący rozmowę: **Artur Kłus**

Czas nagrania: **część I: 60 min, część II: 60 min, część III: 62 min, część IV: 30 min, część V: 62 min,**

część VI: 61 min, część VII: 31 min, część VIII: 61 min, część IX: 45 min, część X: 42 min,

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Janusz Ramotowski: My żeśmy znowu to oblepili tym razem I znowu nas nie złapali, Mimo tych sześciu punktów obserwacyjnych, czy siedmiu. Byliśmy dumni z siebie. Ale wtedy się wzięli do tego, tak jak się brać należy, no czyli jakie to może być środowisko, jacy ludzie. Był klub studencki „Pod Sosnami”, w którym my żeśmy byli podklejeni niejako na przyprząskę. Tam już wtedy był przynajmniej jeden tajny współpracownik, w tym klubie. I zwerbowali do współpracy chłopaka, studenta, który ten klub prowadził. On tam miał jakieś swoje nadzieje wielkie i olbrzymie, co to z tej współpracy będzie miał. On koniecznie chciał jakąś kawalerkę w tym Otwocku, bo się mu kojarzyło trudno, a mieszkali razem, no więc tą kawalerkę. Zamiast tej kawalerki to dostał zaraz tą teczkę dyplomatkę. Niewielki łup. I tak naprawdę to ja jemu się wygadałem. Oczywiście nie powiedziałem, że my żeśmy tutaj wylepili, narobili i tak dalej. W końcu wiadomo – konspiracja. Ale tam w tej kawiarni Adria, kiedyś Leszek mówi do mnie: „słuchaj, ale ty mi wyglądasz na zmęczonego”. Ja mówię: „człowieku, przez te ostatnie parę tygodni, to ja czuję, że się postarzałem przynajmniej z 5 lat. O, chyba nawet jakieś takie siwe włosy mam”. I to wystarczyło, żeby w nim zaskoczyło, co trzeba, jak trzeba. I później sprawa była prosta. Wzięli za łeb, nawet nie Zbyszka, wzięli taką dziewczynę Zbyszka. No i on, żeby uwolnić dziewczynę, to ogłosił, że to on. A jak on, no to i ja, bo my żeśmy byli takie papużki nierozłączki – chyba jesteśmy w dalszym ciągu, mieliśmy spór, ale to się pewnie wyjaśni na dniach. No i mnie wzięli z roboty. Pojechałem do pracy na Hożą. – To był Leszek Seremak, tak? – No. Tam jeszcze później, on tam później działał jako tajny współpracownik. Dojedziemy do 1980 roku. On mi tam jeszcze raz wypłynął w którymś momencie. To jeden taki człowiek: Leszek Seremak, szkoda chłopaka. No w sumie nam się bardzo dobrze razem żyło, był wesoły, było fajnie. – A niechący rykoszetem oberwało się komuś innemu? – Tam jeszcze, tutaj w Świdrze był jakiś taki chłopak, Aleksandrowicz się nazywał, i on dorysował Gomulce wąsy. No to jego dorwali, tego Aleksandrowicza, I za te wąsy

go tam strasznie też ciaruchali. Pozostali sprawcy niewykryci. Na liceum pielęgniarzkim w Otwocku jakiś nieznany sprawca albo nieznani sprawcy przylepili karteluchy pod tytułem: „wszystkim równo jedno gówno”. No i te „wszystkim równo jedno gówno” przyklepano nam, chociaż jakiś ekspert to... [ŚMIECH] To musiało upaść. Teksty gówniarzy. Jakiś specjalista od języka polskiego, od składni, od słów. Ekspert od razu ich ostrzegał: to nie są ci sami ludzie. Ten, co napisał „wszystkim równo jedno gówno”, to jest jakiś inny człowiek. Szukajcie innego człowieka. No ale oni to przykleili nam, a my żeśmy nie protestowali. Jeszcze w Śródborowie jakieś takie dwie dziewczyny, trzy dziewczyny wydrukowały pięć ulotek, spłodziły pięć ulotek i też je tam ciągali. To taki był ten ,69 rok w Otwocku. W każdym razie mnie zwinęli z roboty, czyli już jak jechałem do pracy, to jechał ze mną, przy mnie jakiś taki ubek, ubeczek z Otwocka. A gdzie ja miałem uciekać? Ja bym uciekł pewnie, tylko gdzie ja miałem uciekać? Nie byłem, to może szkoda, bo to człowiek traci później te szanse na karierę. W tym samym roku przecież Bogdana Borusewicza chcieli wziąć. Ale Bogdan był bardziej ambitny, uciekł. Gdzie miał uciec? Schował się w lesie. I w tym lesie tam tkwił, ten Bogdan. Brat mu donosił żarcie, nie wiem, czy sobie jakiś tam szałas wybudował, trzeba by się kiedyś zapytać, jak to było dokładnie. On tam się ukrywał, ten brat mu donosił żarcie, żeby z głodu nie umarł. No i w końcu ta bezpieka do tego brata mówi: „my wiemy, że pan się kontaktuje z bratem. Może pan mu powie, żeby on jednak wyszedł, żeby tego”. On mówił: „nie mogę powiedzieć, ja nie mogę go podkablować, ale jakbyście poszli za mną, to byście go złapali”. No to szkoda chłopaka w tych krzakach. Więc ja nie miałem tej ambicji, nigdzie nie uciekałem, dojechałem sobie dzielnie do pracy. Poszedłem do swojego pokoju, no i dzwoni pani z portierni: „panie Januszu, jacyś koledzy są do pana. Niech panią ręce bronią przed takimi kolegami. Ręce boskie bronią przed takimi kolegami”. Ale wyszedłem, no to wyskoczył – skomplikowane nazwisko, on się wtedy Pudło nazywał, później się Zakrzewski nazywał, no był tam taki klient – wyskakuje do mnie: „cześć!”. – Tak ładnie, dyskretnie i sympatycznie. Ja rączki do tyłu: „dzień dobry”. – „No, mamy nakaz zatrzymania Was, ale nie chcemy robić tutaj sensacji, to powiedzcie szefowi, że jesteście wzywani w sprawie wypadku samochodowego”. A ja mówię: „nie. Nie. Przyjeżdżacie mnie zabrać, zabrać mnie z pracy, to pójdziecie do szefa i powiecie, kim jesteście i dlaczego mnie zabieracie. No, takie są zasady”. Wtedy usłyszałem o mojej mamie opinie nieprzyjemne, choć nieprawdziwe, no ale zlaźł. Wyciągnął legitymację i mówi: „Służba Bezpieczeństwa – to jest ciągle niejasne, co to jest Służba Bezpieczeństwa, to się myli do dzisiaj, wszyscy się mylą, ale wszystko jedno, tak powiedział – mamy nakaz zatrzymania Janusza Ramotowskiego”. Mój szef biedny, jak siedział przy tym biurku, po raz pierwszy widziałem człowieka, który się kurczy tak jak piłka gumowa. Siedział, ramiona mu się zapadły, pufka mu się zapadła. Julek Srebrny, niedawno go widziałem teraz. Julek Srebrny. – „No, no, no, jak panowie muszą, no to, no...”. No oni musieli, mnie wyprowadzili. Wtedy po raz pierwszy przeżyłem też bardzo dziwną rzecz. No wsadzili mnie do samochodu, do Wołgi, między dwoma tam tajniakami, jedziemy przez miasto, które ja znam, po którym biegam codziennie i nagle to miasto stało się dla mnie takim filmem jakby. Jest, widzę, jest to moje, tylko że nie mogę tego dotknąć, więc film taki. Takie miałem wrażenie w tym momencie. No zawieźli mnie na Okrzei i tam wsadzili, tam na strychu się siedzi, nie w piwnicy, tylko na strychu. No nie wiem, teraz jest jakieś ABW albo diabli wiedzą co, ale myślę, że to zostało. Wsadzili mnie tam na ten strych, czekali, aż się trochę zmaceruję, zabrali oczywiście papierosy. No i tam po paru godzinach, kiedy poczuł, że chyba chwaci, no to na przesłuchanie. Obydwa palą, do cholery, jeden i drugi. Dwóch mnie przesłuchiwało Palą, a w tym pokoju tego dymu, tylko ja nie palę, bo nie mam. No więc zacząłem w jakimś momencie spoglądać się na tą paczkę papierosów ich. Oni poczuł, że rybka już zaczyna przynętać próbować. No to teraz się podcina i rybka nasza, nie? Przesunął mi tą paczkę, mówi: „masz, zapal”. I ja nagle zrozumiałem, bo ja za tego papierosa byłem gotów na coś. Nie wiedziałem na co, ale na coś

byłem gotów. I pojąłem to w tym momencie, że to jakaś bzdura, jakiś totalny odlot. Za papierosa? No do cholery, nie? Mówię: „dziękuję, dziękuję, rzuciłem palenie”. – „Kiedy?” Ja mówię: „a właśnie teraz”. Z tej całej sprawy wyciągnęły mnie bez wątpienia gołębie. To było okno, krata i... Tam się pętał jeden gołąb i dwie gołębicę. Ja się bardzo pochłonałem i on miał olbrzymią chęć, żeby tę gołębicę pościć, że tak powiem. A ja się zastanawiałem, którą on pierwszą pościł. I w ogóle zapomniałem, gdzie jestem i o co tu chodzi. W którymś momencie wrzask: „zadałem ci pytanie!” Ja mówię: „ja przepraszam, bo mnie tam właśnie nie było”. Bo ten... Dokładnie tam przeszuchali, władowali na ten dołek, i następnego dnia wywieźli do prokuratora w Otwocku. Amnestia, po ptokach. Oni próbowali w tym – to było bez sensu – ale w moim przypadku podlepić mnie pod tatarników. Tam był z tych tatarników, jak on się nazywał? Kurczę, no. Fizyk taki był, no asystent fizyki. Wyszło, wyszło, wyszło, wszystko jedno, uleciało mi w tej chwili z głowy. Oczywiście z tego nic nie wyszło... – Onszkiewicz? – Nie, on się na „ski” kończył. On później był w Stanach, znaczy no, wszystko jedno. No jeden z nich, tak, jakbyśmy przelecieli listę, to bym go od razu tam... Ale ja człowieka ani nie znałem, ani nie rozmawiałem, ani razu. Po tych zdarzeniach Julek Srebrny zaczął się mną interesować bliżej. Zaczął tam pogadywać, rozmawiać. No i w efekcie zaproponował mi, żebym wstąpił do Związku Nauczycielstwa Polskiego, ponieważ my w tym Związku Nauczycielstwa Polskiego przygotowujemy przewrót. My ich od środka pokonamy, więc trzeba się tutaj zebrać, zjednoczyć. Ja się znalazłem w Komisji Mieszkaniowej przy Radzie Zakładowej Związku Nauczycielstwa Polskiego. I to było fajne, bo ja jeździłem po ludziach, opiniowałem, czy im się należy mieszkanie. Uniwerek miał jakąś tam pulę tych mieszkań. To było o tyle sympatyczne, że była to znakomita okazja do kontaktu z ludźmi, pogadania sobie, no i to nawet mnie to bawiło, cieszyło. Czekałem na ten dzień przewrotu wielkiego, kiedy obalimy ich od środka. No i przyszedł rok 1976 na tym czekaniu. I w Ursusie zwinęli Andrzeja Celińskiego na spotkaniu z robotnikami. Rektor natychmiast go wywalił z roboty, nie zwracając na to, że Andrzej też był funkcyjnym działaczem związku, na tym IPiRS-e, Instytut Psychologii i Resocjalizacji Stosowanej. Więc musiał cofnąć, Wolna Europa zrobiła szum, więc musiał cofnąć to wypowiedzenie umowy o pracę, najpierw wywalimy z funkcji związkowej, a później wywalimy z roboty. Zostało zorganizowane takie zebranie na Krakowskim Przedmieściu, w sali rektorskiej. Z jednym jedynym punktem dnia, czyli usunięcie z funkcji Andrzeja Celińskiego. Andrzej został zaproszony, przyszedł. Tak mu się biedakowi ręce trzęsły, miał jakąś taką karteczkę z tym swoim tam wystąpieniem. Zresztą takie wystąpienie fajne, takie buńczuczne. Ale ręce mu się trzęsły, odczytywał je głosem lekko łamiącym się. No i odczytał to wystąpienie i wtedy usłyszał, że ma wyjść, a my tu podejmiemy decyzję. Ja chciałem zrobić jedną jedyną rzecz. Wstać, powiedzieć: „Andrzej, co będziesz wychodził sam? Wyjdziemy razem”. Ja się bałem. Po prostu bałem się wyjść razem z nim. I jest najgorsze w życiu człowieka, najgorsze jak się boi, a jak się później wstydy swojego strachu, to już jest dobry element. Więc myślę, ja się zacząłem wstydić. No i w którymś momencie na szczęście zaproszono towarzysza sekretarza organizacji partyjnej. I ten człowiek zaczął bredzić tam do nas, mówiąc, że Andrzej Celiński nawiązał nielegalne kontakty z klasą robotniczą. I to jest jednak karygodne, przestępcze i w ogóle straszne. I wtedy mi do łba przyszedł jakiś tam pomysł, że to są legalne kontakty z klasą robotniczą. Więc mówię, że mam tutaj jedno pytanko. Andrzej Celiński nawiązał nielegalne kontakty. Rozumiem.

Artur Kłus: A jakie są legalne, gdyby pan był łaskaw nam wyjaśnić?

Janusz Ramotowski: I wtedy usłyszałem, że to się odbywa w czasie pochodów pierwszomajowych, masówek i festynów, które są organizowane. Mówię: „no to mam drugie pytanie. Moja żona pochodzi bez wątpienia ze śró-

dowiska robotniczego. Ja jej nie poznałem ani na masówce, ani na festynie, ani na pochodzie. W związku z tym ja się pytam, czy moje małżeństwo jest legalne?”. No i sala, która była potwornie spięta, bo sytuacja była taka, jaka była, nagle sala wybuchnęła śmiechem, to się tarzali dosłownie ci ludzie, a ludzie jak się śmieją, to stają się bardzo niebezpieczni. No z racji, że wtedy udało się Andrzeja obronić, nie było żadnej uchwały wyrzucającej go, etc. Mało tego, ja tam ogłosiłem, że my, Wydział Fizyki ogłaszamy wotum separatum, my się zarejestrujemy samodzielnie w Związku Nauczyciela Polskiego, takie tam różne szopki. To oczywiście się skończyło, jak się takie rzeczy kończą. Po prostu pacyfikuje... Ileś Wydziałów to zrobiło: to NiPS zrobił, Matematyka to samo zrobiła, że występują też i tak dalej. Wyglądało to na dużą awanturę. Ale później po kolei każdego: rozmowa, rozmowa z tym, rozmowa z tamtym. Mnie wezwał do siebie dyrektor Instytutu Fizyki prof. Pniewski. Powiedział: „panie Januszu moje poglądy polityczne są obojętne w tej sprawie. Ja tylko muszę panu powiedzieć, że ja nie będę w stanie pana obronić”. Mówię: „dziękuję, panie profesorze. To i tak niczym nie zmieni tego, co robię, ale dziękuję”. No i później się odbyło u nas na Hożej zebranie z przewodniczącym rady zakładowej. Wszyscy byli spacyfikowani. I ten typ mówi: „nie spodziewałem się, że nasze spotkanie będzie przebiegać w tak miłej atmosferze”. No szlag mnie trafił, no szlag mnie trafił ostatni, no bo wstałem, powiedziałem: „jeżeli tą atmosferę ktoś może popsuć, to chyba tylko ja. W takim razie to ja wychodzę, już mnie nie ma. Aha, tu jest jeszcze legitymacja”. Próbowałem ją jakoś tam podrzeć, ale to w takich twardych okładkach, jakoś tam poszarpałem, ale nieskutecznie. I skończyłem moją egzystencję w Związku Nauczycielstwa Polskiego. Oczywiście nikt mi nic nie zrobił, bo to trzeba było następnej rozróby o następnego idiotę. Więc to tak zostało, tak się uklepało, z tym, że powiedziałem, że ja już nigdy w sposób zorganizowany nic nie będę robił, bo to nie ma sensu. Później wyskoczył rok 1980. I ja wiedziałem, że będę kończył pracę w Instytucie Fizyki, bo ten warsztat będę budował. Jeszcze zdążyłem się zapisać do pierwszej Solidarności, jeszcze próbowałem przekonywać niektórych, żeby się nie zapisywali, bo to była fala, wszyscy się muszą zapisywać. Komuś tłumaczyłem: „a co zrobisz, jeżeli taka będzie sytuacja, że nasz nowy związek zawodowy postawi Cię przy tym oknie i masz bronić tego okna przed milicją, która będzie chciała tu wtargnąć? Czy zrobisz to?”. – „No nie”. – „To się nie zapisuj. Lepiej będzie dla ciebie i dla związku”. Miałem rację swoją. W każdym bądź razie... Zapisałem się do pierwszej Solidarności, no i skończyłem pracę. Po swojemu po prostu. Kiedyś mój szef, docent Hofmokl, powiedział mi, że tak się miło ze mną pracuje i w ogóle, bo ja nie myślę o pieniądzach. Mówię: „są momenty, kiedy muszę myśleć o pieniądzach, to wtedy będę musiał odejść z pracy”. – „Ale to nie ma sprawy, proszę pana, za porozumienie stron, natychmiast”. Więc powiedziałem mu w poniedziałek, że w piątek jest sam ostatni dzień w robocie, a później mnie już nie ma, nie? Porozumienie stron. Powiedział, że to jest niemożliwe, tak się nie robi. Powiedziałem: „bye, bye” i w piątek byłem ostatni raz. Później nie byłem, przyszedłem po pół roku, zobaczyć, co jest grane. Rzeczywiście rozwiązali mi za porozumieniem stron. No i w okresie karnawału legalnej solidarności ja budowałem tutaj ten warsztat, te mury tu stawiałem, dachy i inne te. Robiłem, ojciec był wściekły, że tu się Polska zmienia, a ja warsztat buduję. Mówiłem: „tata, spokojnie, z 10 milionów jak zostanie 300 tysięcy, to będzie cudownie”. Ile zostało? Zapytałem się chyba... No w stanie wojennym. Wszystko jedno może, w 1983 roku zapytałem się Ewy Kulik: „powiedz Ela, ile naprawdę nas jest?”. Ewa pomyślała chwilę, mówi: „wiesz, gdybyśmy wzięli pod uwagę najmniejszą aktywność, czyli płacenie składek, to około 70 tysięcy”. Taka była siła Solidarności wtedy. W każdym razie ja sobie ten okres przeczekałem na budowaniu warsztatu. I przed tym stanem wojennym nagle na ulicy kogo spotkałem? Leszka Seremaka. Spotkałem Leszka Seremaka. – „Cześć!”. Oczywiście nie miałem żadnych podejrzeń w stosunku do niego. Radość wielka. – „A wiesz, to wpadłbyś do mnie do pracy, to byśmy pogadali, bo tak, ale...”. Umówiliśmy się, wpadłem do niego do pracy. On twierdził, że pracuje

w CRZZ-cie, Centralne... W Związku Zawodowym w centrum. Już nie jestem w stanie rozwinąć do końca tego skrótu. Poszedłem do niego. Rzeczywiście jego pokój, gabinet był zadziwiający, ponieważ tam było to wszystko, co trzeba, czyli było biurko, był jego jakiś tam taki fotel, było krzesło, był stolik z fotelikami, jakąś kanapą, był regał pusty i była palma. I żadnych śladów pracy, prawda? Tu gdzie coś robimy, coś zostawiamy, coś się dzieje. Tam nic nie było. Mówię: „Leszek, co ty tu robisz?”. „A ja palmę podlewam” – powiedział. No i żeśmy sobie pogadali, on mi tam opowiadał, jak był na strajkach w stoczni, tam takie te. A ja sam miałem mu do opowiadania, że warsztat buduję. I tak żeśmy się rozstali w takim nastroju, że on to, ta tamto, a ja ten warsztat. Wydaje się, że to był okres, kiedy oni przed stanem wojennym próbowali czyścić papiery, patrzeć kto jest interesujący, kto nie jest interesujący, ponieważ później dostałem zwrot jakichś listów, jakichś takich rzeczy, nagle przysłano mi do domu. Więc myślę, że ta rozmowa z Leszkiem miała swój sens, bo zostałem skreślony jako z listy ewentualnych niebezpiecznych przeciwników i dlatego w stan wojenny sobie wjechałem zupełnie spokojnie.

Artur Kłus: Czy przed stanem wojennym było pana spotkanie w Wyższej Szkole Oficerskiej? –

Janusz Ramotowski: Ja tam ten warsztat budowałem, jak wracałem, to przejeżdżałem koło tej szkoły, więc wysiadałem i tam patrzyłem, co się dzieje. Był moment, kiedy oni zaatakowali, weszli do środka. Sytuacja się zmieniła teraz, powiedzmy, ludzie byli z zewnątrz, w środku było ZOMO, no i ludzie chcieli szturmować tę szkołę. I Henio Wujec latał i krzyczał, że trzeba zatrzymać, żeby nie doszło do jakichś tam takich rzeczy. No ja tam pomagałem mu, nie znałem w ogóle przecież wtedy Wujca ani trochę, ale mu tam jakoś pomagałem. No i się go pytam: „no i słuchaj, a Region co na to wszystko? – „A region zbierze się pojutrze”. Mówię: „aha, no to już mamy, co mamy, zobaczymy, co będzie dalej”. No i stało się, prawda, 13 grudnia. My mieszkaliśmy pod Hutą, więc to takie malownicze było; te transportery, te ciężarówki, Ci ludzie w mundurach. Polecałem posłuchać, w jakim języku gadają, bo jak gadali po rusku, no to znowu zmienia wszystko. Gadali po polsku, mówię: „aha”. A później jakieś tam takie przygłupy, bo to był dzień wariackich akcji: przewożenie bimbrowni – wielka akcja, przez którą Podziemie przetrwało bez wątpienia. Następnego dnia znalazłem gdzieś na jakimś murze jakąś tam kolejną listę internowanych. I tam był Sławek Krótkowski, jeszcze z Marca człowiek. Żeśmy się jakoś tam znali, chociaż nie, z powiedzmy, działań antypaństwowych, z turystyki. Mówię: „aha, Sławka zamknęli i myślą, że nic nie będzie? No to trzeba jakieś kontakty, trzeba zacząć coś robić”. No i gdzie miałem lecieć? Julek, no Julek Srebrny. Mówię: „cześć Julek, no wiesz, będziemy coś robić?”. A on: „o to bardzo dobrze, że jesteś, bo my tutaj właśnie...”. I dopuścił mnie do tajemnicy, że formują gazetę pod tytułem „Solidarność Walcząca”, która z tamtą Solidarnością Morawieckiego nie miała nic wspólnego. To inicjatywa lokalna Julka i jego dwóch kolesi. No i skład był prosty: redakcja pod tytułem Julek i tych dwóch kolesi, ja miałem być siłą techniczna, no i kolporterska. No, wciągnąłem Kuranów, jakieś tam ramki żeśmy dostali. I zaczęliśmy tą Solidarność Walczącą tam pracowicie powielać. Kuranowie tam chyba dobierali jakichś ludzi, ale nigdy mi o tym nie mówili, kogo i jak. I w którymś momencie ogłosili mi bunt, strajk, że oni więcej tego nie będą robić. Dlaczego? Pozostaje ostatnia możliwość, żebyśmy to ciągnęli pod tytułem: należy umieścić motto. Gdzie znowu motto? „Przez żołądek do serca”. Ponieważ Solidarność Walcząca w tym wydaniu była potwornie płaczliwa, odwoływała się ciągle do tego głodu, który nastąpił, jakieś takie historie. Ale już w tym momencie jeden z tych ludzi robiących tą Solidarność Walczącą, to był kolega Teosia Klinewicza, no i on mnie skontaktował z Teosiem. Widział, że ze mnie pożytku nie będzie przy tej gazecie. Skontaktował mnie z Teosiem, no a Teoś to już był inny człowiek, bo pomysły były już lepsze. Z radością

przystałem. No i zaczęliśmy to tam jakoś organizować, prawda? Organizować się. Ja za sobą nie...

Artur Kłus: To była wiosna 1982? –

Janusz Ramotowski: To była zima jeszcze 1982. Ja pewnie Teosia... –

Artur Kłus: 1981?

Janusz Ramotowski: 1982 już, bo 13 grudzień 1981, no więc luty 1982 mniej więcej ja zacząłem z Teosiem. Ponieważ ja tam za sobą specjalnie ludzi nie mogłem przyciągnąć, żadnej ekipy nie mogłem zorganizować, więc wziąłem na siebie sprawy techniczne, które tam nawet swój sens miały. Miały sens, bo te pierwsze „gadały”, te urządzenia nagłaśniające wyszły, powiedzmy spod mojej ręki. Jakoś to organizowałem, prawda, tam jakichś parę innych takich. Pierwsze wyrzutniki pirotechniczne. Ten zespół się organizował, tam były te grupy miejskie. Waldeczków jeszcze wtedy nie było, Marek i Wojtek to oni jeszcze nie, ale był taki Andrzej Niedek „Alek”. On tam zmontował taką dosyć silną grupę. No i na tym mieście zaczęło się coś dziać, te uloty zaczęły być sypane na lewo i na prawo. Te akcje nagłaśniające żeśmy robili. Uważam, że majstersztykiem była akcja na Powązkach na 1 sierpnia 1982 roku. Tam była przy tym kamieniu, pomniku Powstania była uroczystość oficjalna zupełnie, czyli żołnierze stojący na warcie honorowej, oficjele, przemówienia. No to było obstawione i w tym wszystkim udało się tam ustawić na szczycie tego pomnika naszą „gadałkę”. Udało się przez zaskoczenie, bo nikt się nie spodziewał, że ktoś może to próbować zrobić. Po prostu, jak się kończyły te mowy i przemówienia, to trzech chłopaków od nas wyszło z tą „gadałką”, rozsunęli kwiaty na boki, żołnierze stali, nie bardzo wiedzieli, co jest grane. I tak jeden na drugiego i ustawili „gadałkę”, pociągnęli za sznurek. No i rozpoczęło się przemówienie Zbyszka Bujaka. – Nagrane? – Nagrane na taśmę. Bezpieka nie reagowała, byli obłupieni zupełnie tym numerem. Wyszło nam na 100%, prawda. Lepiej nie można było. No a później był ten 31 sierpień 1982, kiedy to próbowaliśmy tam w jakiś sposób zorganizowany wystąpić. Wyszło, jak wyszło. Wyszło niespecjalnie. –

Artur Kłus: Jeszcze jakby pan opowiedział o tych gadałkach, jak dochodziło do konstrukcji, jak tutaj...

Janusz Ramotowski: Znaczący, to idea była taka, żeby zrobić przenośne urządzenie nagłaśniające z własnym zasilaniem, które można byłoby ustawić w dowolnym miejscu. Więc jakiś tam głośnik, magnetofon, wzmacniacz, no i oczywiście jakaś kupa baterii, no bo to tych baterii tam trzeba było jakiś spory zapas. Obudowę i montaż tego robił Krzysiek Kuran. On miał warsztat stolarski, przy okazji był elektronikiem. Natomiast samą gadałkę, w sensie koncepcji technicznej, zrobiono na Hożej. To był inżynier Lenartowicz z IBJ. I od nas z Wydziału Fizyki taki Wiesio Siepkowski, technik. Jak oni to zrobili? Chyba zrobili to dobrze, skoro czytałem ekspertyzę ze strony bezpieczeństwa, po jednej z tych pierwszych „gadał”, które były zdjęte, no i facet pisał, że jest pewne, że urządzenie to robili fachowcy. Niechlujstwo w wykonaniu wynika z tego, że było to przeznaczone od razu na straty i nie było sensu się bawić, żeby to jeszcze ładnie w środku wyglądało. Taka była prawda, my wiedzieliśmy, że to ma wpaść i wpadnie, no i w związku z tym bez żadnych tam takich cudów. To była ta pierwsza taka seria „gadał”. Ile ich powstało? Mi się wydaje, że siedem, ale to może mi się wydawać, ale chyba nie mniej jednak. Więc te „gadały”, te wyrzutniki, pierwsze wyrzutniki to taki piecyk, rura stalowa zwinięta, dziurka od spodu, trzy nóżki, które można było wyginać, żeby jakiś tam kąt nadać temu

wszystkiemu. No i materiał wybuchowy, żeśmy stosowali nadchloran amonu, no i papier toaletowy. To bardzo ładnie eksplodowało z taką siłą, która była potrzebna na wyrzucenie tych ulotek. Później też już po mnie to się wszystko rozwinęło do jakichś tam granic niemożliwości. No i wtedy były one takie. Jeszcze wtedy zrobiłem akcję, którą do dzisiaj uważam za moją najlepszą akcję dywersyjną, czyli płyta na murach Starego Miasta. Jacyś kamieniarze wzięli, wykuli taką płytę, która mogła mieć wymiary, ja wiem, z metr na mniej, prawda, na te, może 70 cm, wszystko jedno. Zrobili taką płytę tam pamięci ofiar stanu wojennego, jakiś tam taki tekst patriotyczno-wzruszający. Ta płyta się poniewierała po jakichś piwnicach i w którymś momencie należy ją umurować. Ja najpierw myślałem, żeby ją wstawić na miejsce tej skarboney, co stała przed Zamkiem Królewskim. Jak będą zabierać skarboneę, to trzeba tam wstawić płytę. Pomierzyłem rozstaw tych śrub. Zostały powiercone dziury o tym rozstawie. No i oni zabiorą skarboneę, my wstawiamy płytę. Jakies dwa malutkie ładunczki termitowe, żeby, powiedzmy, trochę zaspawać te łebki, te śruby. Te szpilki i gotowe. Jak to wszystko było gotowe, to Teos oczywiście zameldował Bujakowi, że dnia tego a tego, o tej a tej godzinie zostanie na Starym Mieście umieszczona płyta poświęcona ofiarom stanu wojennego. A Bujak to powtórzył w Wolnej Europie. I namówił jeszcze inne regiony, żeby zrobiły to samo. Zrobiło się lekko nieprzyjemnie, bo jeżeli безпеca ma datę, godzinę i miejsce, to jakoś tak głupio robić. Z kolei wmurować tą płytę na Ursynowie, trochę bez sensu. Zrobić później też bez sensu. W czasie teraźniejszym się nie da, pozostał czas przyszły. Czyli co? Taka była moja myśl: wmurujemy ją wcześniej, tylko trzeba ją przestronić koszulką maskującą. A odsłonięcie nastąpi tylko w wybranym momencie. I tak żeśmy zrobili na tych murach Starówki w parę osób. Ile tam ludzi mogło być? Było takich dwóch chłopaków z MRKS-u podarowanych, chyba pięć osób w sumie, ja tam robiłem za kierownika robót. Mieliśmy kombinezony robocze, taczkę z zaprawą. W taczce się jeszcze zmieściło parę butelek piwa. Ja tam sobie siedziałem, to piwo piłem i dogadywałem im, jak oni tam robią. Nie było wiertarek jeszcze takich, więc oni musieli kuć dziury w tym murze przy pomocy mesła i młotka, ale wkuli, wzięli te szpilki i tam wbili. Zawiesili tą płytę, przykryli od razu, ona była przykryta papierem, no i na to koszulka maskująca pt. „Chodzenie po murach, dokonywanie wszelkich napisów, zabronione pod karą grzywny lub sądową”. I tych koszulek żeśmy powiesili pewnie ze 3 –4 jeszcze tam na tych murach. Czyli wyszło, płyta doczekała dnia otwarcia. No i otwarcie było proste. Po prostu wzdłuż murów przeszło dwóch chłopaków, zerwali tą koszulkę, no i później odskoczyli pod pomnik Bilińskiego, a tam już czekał samochód, żeby ich zabrać. Bezpieka była, byli nasi, z tym że безпеca zgłupiała trochę, bo nie widzieli, co się stało, w którym miejscu, co i jak. Więc bez strat. Ja, głupek, oglądałem to do samego końca. I za długo, bo jak wracałem przez Plac Zamkowy, to widziałem, że tak na styk idzie na mnie dwóch typów, bez wątpienia łapsy, ubecja. No to co, uciekać? Więc ja myślę, jak ja będę uciekał, jak ja nie wiem, ile tych jeszcze się pałęta po tym placu. Ja przebiegnę pięć kroków i mnie mają, nie? No dobra, no żeśmy się zderzyli. – „Dowodzik, poproszę”. Pytam grzecznie człowieka: „a może mi pan powiedzieć, dlaczego ja panu mam dawać mój dowodzik?”. – „Milicja Obywatelska”. – „Wie pan, jak się na pana patrzę, w ogóle bym się nie domyślił. I się jeszcze nie domyślał. Ma pan może jakąś legitymację, może coś?”. Co miałem im mówić, że śmierdziel jest na kilometr? Pokazał legitymację, no i zaprowadzili mnie na Jezuicką. Oczywiście i wtedy też bili na tej Jezuickiej, no nie mnie, ale tam widocznie taki obyczaj, że się bije po prostu, się biło. Później nas przewieźli na Wilczą i się zacząłem trochę martwić, bo gdzieś się poniewierało jakieś moje zdjęcie w jakichś katalogach. Jak to zdjęcie zaraz wyciągną, no to „chudo bude”. Co robić? Wyjść nie bardzo jest jak. Taki jakiś korytarz długi, drzwi na końcu i tak żeśmy się przesiadali na takiej ławie. I kto tam wchodził, to już później nie wychodził, jakaś ta taśma szła gdzieś tam dalej, nie wiem, gdzie ona tam szła. Siedziałem, no i... Właściwie przyszedł mi do głowy tylko jeden pomysł. Kiedyś poznałem takiego człowieka, który później został mili-

cjanem, poszedł do milicji i tam na tej Wilczej był. Skończył szkołę, był porucznikiem, porucznik Ciechomski. Ja sobie myślę: kurczę, jak już mnie wezmą za łeb, jeszcze wykryją, że z tego zdjęcia, ten typ to ja, to ja będę krzyczał, że potrzebuję kontaktu z porucznikiem Ciechomskim. On mi nie pomoże, ale ja go utopię. Co mu obiecywałem, jak mi powiedział, że został gliną. Mówi: „żebyśmy się nie spotkali z drugiej strony biurka”. Ja: „Maciek, no tego ci życzę, bo stracisz robotę, no wylecisz na zbity pysk”. No i to mnie strasznie uradowało, że to taki może być piękny numer, że ja Ciechomskiego umoczę. Już się czułem dobrze. Ten typ, który mnie tam wtedy zwinął na tym Placu Zamkowym, to mieli kupę roboty. Druga nad ranem i nic, tylko tam ciągle przez te drzwi jeszcze przepychali. Ja byłem bez jakiejś takiej bez troski, bez żadnego stresu na głowie, w ogóle nic. Więc w końcu doszedł do wniosku, że chyba mnie to już nie warto. Wyciągnął mnie z tej kolejki, mówi: „chodźcie ze mną”. Mówię: „o, bez kolejeczki, jakieś chody mam?”. – „To się wyjaśni”. No mówię, to mnie rozpoznał i teraz już będą te wszystkie hece. A on mnie doprowadził do drzwi wyjściowych: „to jest wasz dowód, tu są drzwi. Do widzenia. Więcej się tak nie włączcie po mieście”. Pytam się: „a porucznika Ciechomskiego może pan zna?”. – „Znam, bo co?”. – „Nic, kumpel”. – „No czemu żeście od razu nie mówili?”. – „Ja nie, ja chciałem zobaczyć, jak u was to się odbywa”. I tak to się skończyła ta heca z tą płytą, ale była to, uważam, moja najlepsza akcja, jaką zrobiłem, bo przy pełnym ostrzeżeniu udało się to zrobić na oczach tych wszystkich typów. No i po tym, to znaczy, bo to ten 31 sierpnia, to była nasza ostatnia taka wspólna akcja z Grupami, ponieważ to Wojciech Fabiński, był taki, pseudonim „Janusz”, on już miał kontakt ze Szwecją i już te transporty ruszyły z tej Szwecji i on zaczął organizować zespół tylko i wyłącznie do transportów. Bo to dwa przyszły i one szły przez „Alka”, Andrzej Niedek to odbierał, ze wszystkimi konsekwencjami, bo to... Nie chcę człowieka oczerniać, ale to po prostu straszne. Więc Wojtek zrozumiał, że jak będzie dalej prowadził w ten sposób, no to po prostu transporty się skończą, a oni pójdą siedzieć, no więc zorganizował zespół na nowo, no i zaproponował mi przejście tego zespołu pod warunkiem wycofania się z Grup Oporu, Co się dało zrobić prawie do końca, no oprócz Teosia, bo pozbyć się Teosia było niemożliwe, zresztą on akurat miał chatę blisko mnie, więc kończył dzień, przyłóżąc do mnie. Miałem bimber, no to ten bimber żeśmy pili, omawiali tam sytuacje na świecie i w Polsce, tam jakieś szczegóły. Teosia się nigdy nie byłem w stanie pozbyć. No i tego też były konsekwencje, bo na przykład jeden z moich kwitów, który napisałem ręcznie, ze spisem transportów, wpadł w ręce bezpieki, przy Teosiu właśnie. No w każdym razie w jakiś sposób znacznie się odłączyłem. – Bo to odłączenie się od Grup i jakby przejście do takiej sekcji, jakby wejście z transportem, to było już po kilku miesiącach działania w ramach Grup. – Tak, tak. –

Artur Kłus: A jeszcze bym się dopytał o kilka kwestii, bo Pan był właściwie od samego początku powstawania tych Grup, kiedy właśnie był „Alek”, czy...

Janusz Ramotowski: Piotr, no. –

Artur Kłus: Jak Pan pamięta właśnie takie... od wewnątrz organizację tych Grup, bo to tak naprawdę te Grupy były trochę, miały sporą autonomię wokół siebie.

Janusz Ramotowski: Tak to było.

Artur Kłus: Jak Pan właśnie wspomina organizację Grup Oporu?

Janusz Ramotowski: To znaczy, my żeśmy tworzyli jakiś zespół, który próbował przygotowywać, koordynować jakieś tam akcje. Często na zlecenie Regionu, często tam z jakiejś inicjatywy własnej, że tak powiem. I my żeśmy to w tym zespole paru osób, czyli Teoś, Alek, Grzesiek Jaczyński, Piotr Mazurek, Jacek Józwa, Wojtek Fabiński – nie wiem, czy jeszcze kogoś nie omijam, chyba już nawet nie – tworzyliśmy ten zespół koordynacyjny, omawialiśmy, w jaki sposób taką akcję można zrobić, no i później rozpisywaliśmy to na głosy. Alek miał bezpośredni kontakt na swoją grupę miejską, powiedzmy. Jacek Józwa miał kontakt na tą swoją grupę miejską. Piotr Mazurek zajmował się głównie poligrafią i sprawami technicznymi. Grzesio Jaczyński za takiego adiutanta robił przy tym Teosiu. Nie wiem, kogo pominąłem, chyba już nikogo. Ja na przykład nie miałem bezpośrednich kontaktów z tymi grupami miejskimi, z tymi grupami ulotkowymi. Tak jak robiłem płytę, to po prostu dostałem ludzi. Ci ludzie od Alka nie mieli kontaktu z ludźmi od Jacka Józwy. Były to zupełnie odrębne, autonomiczne grupy. Oprócz tego wszystkiego była jeszcze taka Teosia inicjatywa, którą odsunął od tego naszego sztabu, czyli głównie studenci. Olgierd Smoleński był taki człowiek. I my żeśmy nawet niewiele słyszeli o tej grupie, o Olgierdzie. Później zjawił się Piotr Rzewuski ze swoją grupą. Z tym że to było, znaczy, oni byli poza naszym zasięgiem i my byliśmy poza ich zasięgiem. Tak jak Wojtek Fabiński koordynował akcję w Ursusie, tam na rocznicę Ursusa, przed tym kamieniem „gadała”, tam jakieś tam, no i podjęliśmy próbę zatrzymania kolumny ZOMO, czy uda się ich zatrzymać przy pomocy oleju i kolcy. Więc Wojtek nie miał wcześniej namiarów na tych ludzi, dostał ich, później z tego wyrósł jeden człowiek, który poszedł do transportów. Byliśmy odizolowani, to myślę, że nie było najgorsze, bo wpada gdzieś tam na mieście, nie obciążała natychmiast nas. No ale tak jak mówię, to były te początki, które ja pamiętałem. – To też na początku było tak, czy dla Grup i członków tych Grup było jasne, że to Teodor Klincewicz jest szefem? – Ja myślę, że... – Bo spotkałem się, że nieraz i „Alek” podchodził do... – „Alek” cały czas, znaczy, „Alek” miał swoje ambicje i on w tych ambicjach – nie wiem, czy on jeszcze żyje, pewnie żyje, bo nie słyszałem, żeby umarł – Alek był ciągle człowiekiem ponadambitnym. I Alkowi się wydawało, że to tak naprawdę to on. Tak naprawdę był to jeden z zespołów. No ale ten konflikt trwał, zresztą były tam dalsze wydarzenia. Aresztowali Teosia tylko po to, żeby postawić na czele Alka. To przecież była akcja bezpieczeństwa, bo przy Alku był tenże Kotarski – Pękalski, była szansa na dojście do RKW. Na tym cała sztuka. Z tym że mnie to już wtedy nie dotyczyło. Natomiast w opinii ludzi, to wszystko zależy, z kim rozmawiamy, w jakim miejscu byli. Na przykład wszyscy ludzie od Jacka Józwy, to oni tak na dobrą sprawę w ogóle nie mieli pojęcia, że gdzieś tam jest Teoś, że to jest jakieś kierownictwo tego typu. Dla nich był Jacek Józwa, były tam jakieś struktury międzyzakładowe Solidarności, no i tyle, prawda? Że to spływało w zupełnie inną stronę, oni o tym nie wiedzieli. Rzewuski Piotr wiedział, bo on się z Teosiem skontaktował. Co wiedzieli jego ludzie, to ja nie mam pojęcia. Pewnie trochę wiedzieli, to cudów nie ma, a może nawet bardzo dużo. Cały czas działał na zasadzie takich grup autonomicznych, które zresztą miały szansę przetrwać, nawet w przypadku tam jakichś wielkich przypałów. To się jakoś tak odbywało. Likwidacja grupy Rzewuskiego właściwie niczym nie zmieniła sytuacji. Likwidacja Grupy Jacka Józwy też niczego nie zmieniła. Wskoczyła Grupa, no w tym czasie już weszli Waldeczki na to miejsce i tak dalej. Więc to było płynne i jednocześnie nie działało na zasadzie takiego bezpośredniego rozkazodawstwa. Była tu raczej federacja, Federacja Młodzieży Walczącej w jakiejś części. Później też działała pod tym samym szyldem, z tym Teosiem gdzieś tam na czele. Tak że tak było, w przeciwieństwie do naszego zespołu małego, ale u nas to działało bardzo strukturalnie, bo inaczej nie można było. To był Region, dla którego pracowaliśmy, a w ramach zespołu później były dokładnie podzielone funkcje i niewiele żeśmy od tych funkcji odbiegali. – Pana zespół to był taki techniczny, tak? Funkcja techniczna? – Do czasu transportów tak. W transportach zrobiliśmy to w ten sposób, że Wojtek Fabiński, pseudonim „Janusz”, wziął na siebie kontakt ze Szwecją. Wziął na sie-

bie Svena, tego naszego przewoźnika. Ja dostawałem od niego Svena już rozładowanego z darów charytatywnych, do rozładunku naszego, z tym że teoretycznie ja nie powinienem rozładowywać. Od rozładowywania był taki zespół Bogdana Sawickiego. To Bogdan miał te rozładunki robić. Ja miałem zająć się kontaktem z Regionem, trzymać pocztę z Regionem i dystrybucją. –

Artur Kłus: Tylko Pan mówi już o tym, co się działo później w ramach transportu. Ale wcześniej zespół, którym Pan jakoś kierował, wcześniejszym...

Janusz Ramotowski: To był Zespół techniczny, jakieś pomysły akcji, nieraz bezpośrednie uczestnictwo w nich i tyle. Jakiś tam element decyzyjny miałem. Jak się wyładowała grupa Piotra Rzewuskiego, tak na dobrą sprawę to ja ich wsadziłem do więzienia przecież wtedy. Bo to było ustawienie krzyża na Powązkach. Piotr Rzewuski wziął to na siebie, tą akcję, a ja miałem tą akcję zatwierdzić albo zatrzymać. To, co wymyślił Piotr, mi się strasznie nie podobało, bo on zakładał starcie z bezpieką, że on się z tą bezpieką będzie bił. Uznałem to za totalny idiotyzm. Ale on był tak sugestywny, że w końcu przekonał mnie, że może w ogóle do tego nie dojdzie, a raczej nie dojdzie. Mówię: „róbcie”. No i zrobili, no i do starcia z bezpieką doszło. No i się skończyło, jak skończyło, poszli siedzieć, prawda. Więc, powiedzmy w tym względzie. Więc ileś tych akcji w ten sposób tam jakoś tam ileś tych akcji – nie jestem w stanie powiedzieć, ile tych akcji, bo to zacznie się mnożyć i nagle się okaże, że z tej mojej głowiny wypłynie 50 akcji, a to wcale nieprawda. Wiecie, jak wyglądają takie badania, to wszystko trzeba później dzielić przez ten współczynnik prawdopodobieństwa. No w każdym bądź razie ileś z tych akcji tam przygotowywałem, od czasu do czasu przynajmniej obserwowałem, jak to przebiega. No i tyle, nie? – A skąd Pana pseudonim? – Drugie imię. – A Pan „Przem” czy Przemek? – Ja jestem Janusz Przemysław, no więc z różnych kombinacji wyszło, że tego „Przema” wezmę. Historia pseudonimów, to jest tam cała następna historia. Dopiero teraz, parę dni temu przepisując pamiętniki ojca, rozumiałem, skąd pseudonim „Ryba”, tego tam szefa Kedywu. No bo on pochodził ze wsi Jeziorko. Jak z Jeziorka, no to jak się może nazywać? „Ryba”, no. [śmiech] –

Artur Kłus: Niech Pan powie, jak Pan wspomina pierwsze spotkanie z Klincewiczem i w ogóle późniejszą relację, bo byliście panowie blisko ze sobą. –

Janusz Ramotowski: Teoś był bardzo taki... On miał w sobie iskrę bożą, on chciał robić. I robił wszystko, żeby to wyszło. On napędzał ludzi. I to był urodzony przywódca, chociaż potworny bałaganiarz i wszystko tam dalej, co za tym idzie, ale to był urodzony przywódca. I człowiek, który miał chęć na akcje. Tak że on mnie kupił natychmiast swoim charakterem, że później, żeśmy bardzo długo byli razem, no bo jakoś tak fajnie nam się razem, chociaż pewnie nieraz niepotrzebnie. Ale Teoś był typem przywódcy. I jednocześnie Teoś nie potrafił tego robić w sposób dobrej konspiracji. Ta jego nieszczęsna torba z tą ilością tych kwitów, zapisków tego wszystkiego, co on przy sobie włożył bez przerwy, no jak go wzięli, no to właśnie te zapiski tam później spowodowały ileś po kolei nieszczęść, choćby ten Piotr Skaza, jego najważniejszy drukarz, który wypłynął przy okazji zapisków z torby Teosia. Ta torba była majątkiem wręcz dla bezpieki. Natomiast miał w sobie ten ogień, miał tą pasję i się z nim przyjemnie robiło. Przyjemnie było, jak przychodził wieczorem. –

Artur Kłus: Pan wspominał, że często po akcjach na sam koniec przychodził do Pana.

Janusz Ramotowski: No kończył dzień – bo on tam miał chatę na Wrzecionie po drugiej stronie – no to kończył u mnie, żeśmy omawiali tematy, no i później ciągle padało to samo pytanie: „Przemo, masz Mazowszankę?”. W tych Mazowszankach ten bimber był. Ja mówię: „no tak, ale wiesz, tam w pokoju, gdzie żonka śpi”. – „Ja to załatwię”. Wchodził Teoś ze spokojem do tego pokoju: „Mateńko, ja tylko po jedną Mazowszankę”. Myśmy tą Mazowszankę tam spijali. On był jakimś takim wizjonerem, był ciekawym człowiekiem, z którym warto było porozmawiać, więc jak go zwinęli i Teoś przestał przychodzić, to smutno było, ale któregoś razu dzwonek zadzwonił w zwykłej wieczornej porze i zjawił się Teoś. W jego grypsach z Rakowieckiej czytałem, że prosił o spodnie, bo przytył i się w spodniach nie mieści. A jak ja go zobaczyłem, to on był taki, że mógłbym go na rękę wziąć i wnieść do środka. Taki wydawał mi się chudy. Teraz, czy grypsy były prawdziwe, czy moje wspomnienia są prawdziwe, nie wiem. I znowu zjawił się Teoś, prawda. I znowu wróciło do tego samego. Teoś oczywiście siłą rzeczy sporo tam ode mnie wyciągał, przynajmniej na temat tego, jaki sprzęt dotarł. Teoś nigdy nie wiedział, w jaki sposób tu dociera i tak dalej. Wszystkich tych szczegółów technicznych nie znał. Żona nie znała też tych szczegółów technicznych i RKW nie wiedziało. Ona się ciągle wściekała, co to będzie, jak mnie zamkną, gdzie ten sprzęt, jak oni dotrą. Mówię: „nie przejmuj się. Ktoś to będzie robił po mnie, my to przygotowaliśmy”. RKW nie wiedziało, kiedy przyjdzie sprzęt, Wyrębało się, jak już przyszedł, był rozładowany, policzony. No i z Teosiem było to samo. Jak już ten sprzęt był, no to on tam: „Przemo, ale nie przyszło przypadkiem, no tam... Jakieś matryce, jakieś tam coś?”. Zresztą on mnie namówił do tego, żebym te na przykład matryce, blachy, przekazywał w sposób zupełnie nielegalny CDN-owi Czesława Bieleckiego. On dostawał ode mnie trochę towaru, no na zasadzie, że Teoś mi ściągnął na łeb Bieleckiego i Bielecki jeszcze mnie ochrzaniał, że to nie takiej jakości, jaką chciał. Ale on lubił i do dzisiaj lubi ludzi ochrzaniać, więc ma wybaczone.